Rok 1937 27 czerwca Nr 26

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Morze — klejnot bezcenny

Rok rocznie obchodzi Polska w święto apostołów Piotra i Pawła 29 czerwca „Dzień Morza", a urządza go w całym kraju — tak w stolicy, jak i we wszystkich miastach z Gdynią nadmorską na czele, również w wielu wsiach i miasteczkach na całej przestrzeni Rzeczypospolitej Od czasu odzyskania niepodległości morze stało się dla nas jakby bezcennym klejnotem, którego pod żadnym warunkiem zagubić, zatracić nam nie wolno. Tak, dziś to nareszcie cała Polska rozumie, jak w poprzednich wiekach. za czasów wolności rozumieli to jeno najwybitniejsi, najdalej w przyszłość patrzący mężowie.

Ileż myśli i troski oddali morzu tacy królowie, jak n. p. Władysław IV! Rozumiał on doskonale, jak my dziś dopiero zaczynamy pojmować, że w posiadaniu morza kryje się potęga Polski, a bez morza grozi jej jakby uduszenie się w zamkniętych kleszczach, jakie gotowali dla niej zawsze zawistni sąsiedzi, ci sąsiedzi, którzy sami rozporządzali olbrzymimi przestrzeniami wybrzeży morskich, mieli potężne floty wojenne, niezliczone okręty handlowe, aby w swoje tylko ręce zagarnąć wszelkie zyski kupieckie na świecie. Nawet dziś jeszcze radziby odebrać Polsce ten skrawek morski, jaki nam po wojnie światowej przyznano w pokoju wersalskim, gdy próbowano „sprawiedliwie" rozstrzygnąć sprawy Europy.

To też serca całego narodu przywarły do tego brzegu naszego Bałtyki i niby po przez bajkowe okno śledzą w zachwycie, jak na szarych falach morza suną w daleki świat nasze „Wichry", „Burze" i „Gromy" jak dumnymi pióropuszami dymów znaczą swe drogi statki-olbrzymy: „Piłsudski", „Batory".



Brzeg Bałtyku pod Kamienną Górą w Gdyni

Maleńka jeszcze ta nasza ukochana flota. nieliczna jej dziatwa marynarska. Ale czyż właśnie nie tym droższa dla Matki-Ojczyzny, gdy ma jej tak niewiele?! Zresztą, to przecież zaledwie początek istnienia naszej marynarki. Inne państwa przez całe wieki rozbudowywały, powiększały swoje siły morskie, my zaś dopiero od lat kilkunastu z wielkim trudem tworzymy naszą flotę, dla której zbudowany został kosztem wielu milionów złotych wspaniały port gdyński.

Chodzi tylko o to, aby naród nie ustawał w swych dalszych wysiłkach. Młodzież niechaj się więc garnie do twardej służby marynarskiej, niechaj jej nie przerażają trudy i niebezpieczeństwa związane z życiem w pośród niespokojnego żywiołu morskiego, — najlepsza to bowiem szkoła dla wyrabiania dzielnych, mocnych, pięknych charakterów. Jak żołnierz lądowy, jak pilot na podniebnej maszynie, tak i marynarz na statku pamiętać ma zawsze o tym, że jest w służbie Ojczyzny, dla której wielkości i szczęścia oddać ma swoje siły, a kiedy będzie tego potrzebowała — nawet i życie. Polska mocno oparta o morze. Polska taka jak za czasów Zygmuntów, Batorych, Wazów, niechaj będzie marzeniem i celem każdego kochającego serca jej syna.

O polskiej flocie

W wieku XI i XII Polska Chrobrego opierała się szeroko o wybrzeże Bałtyku z wielu portami, a Gdańsk stanowił z nią niepodzielną całość. Już w następnych jednak latach straciła Polska Pomorze od Szczecina aż po Gdańsk, za Łokietka zaś Krzyżacy podstępem opanowują to miasto, wyrżnąwszy w nim ludność kaszubską.

Przez przeszło półtora wieku nieustannie walczy Polska o odzyskanie utraconych wybrzeży i dopiero za Kazimierza Jagiellończyka odzyskuje, ale tylko Pomorze gdańskie z miastem zupełnie już zniemczonym.

Przychodzą następnie lata coraz gorsze, a wśród nich dalsze próby wskrzeszenia siły morskiej, aż wreszcie traci Polska zupełnie swoją niepodległość.

Nadchodzą czasy niewoli, żyje tylko w narodzie pamięć o dawnej świetności, o łopoczącej niegdyś nad falami Bałtyku banderze polskiej, wspominają się czasy, kiedy Orły Królewskiej Rzeczypospolitej błyszczały dumnie nad bramami starożytnego Gdańska, spoglądały z jego wyniosłych wieżyc.

Ze zmartwychwstaniem Polski wskrzesza też i myśl o morzu. Już na dwa lata przed objęciem wybrzeża, na rozkaz marszałka Piłsudskiego odwołani zostają służący w cudzoziemskich flotach polscy marynarze, którzy dają początek naszej marynarce, stając się jednocześnie wychowawcami i nauczycielami dla młodziutkiej polskiej armii morskiej.

Zjawiają się pierwsze ćwiczebne okręty — kanonierki „Komendant Piłsudski“ i „Generał Haller“, następnie wzbogacają naszą flotę t. zw. traulery: „Czajka“, „Jaskółka“, „Mewa“, „Rybitwa“; torpedowce „Kaszub“; „Mazur“, „Krakowiak“; „Kujawiak“, i „Podhalanin“. Tę szkolną flotę uzupełniły wkrótce transportowce „Wisła“ i „Wilia“.

W roku 1926 rozpoczęła się budowa okrętów bojowych, oczywiście w obcych dokach czyli warsztatach okrętowych, bo własnych nie mieliśmy, a pierwszymi kontrtorpedowcami to „Wicher“ i „Burza“ oraz trzy łodzie podwodne: „Wilk“, „Ryś“, „Żbik“. Przybywa też żaglowy okręt szkolny „Iskra“, który odbywa dalekie podróże oceaniczne z podchorążymi marynarki wojennej.

Ale czas upływa, starzeją się dawne wysłużone już u obcych okręty, i trzeba zastąpić je nowymi, które wykonuje się już w kraju.

Najobfitszy plon przynoszą polskiej marynarce wojennej ostatnie trzy lata, przybywa nam bowiem t. zw. stawiacz min „Gryf“; kontrtorpedowiec „Grom“; „Błyskawica“ i dwie nowe łodzie podwodne.

Wszystko to w porównaniu z flotami innych państw jest bardzo niewielkie, ale wszak Polska wstała z gruzów powojennych i w każdej dziedzinie życia państwowego ma do zrobienia bardzo wiele.

Dziś już banderę polską widziały wszystkie morza i oceany. Nasze wspaniałe statki pasażersko-handlowe „Piłsudski“ i „Batory“, jak i dawniejszy „Kościuszko“, „Pułaski“ utrzymują stałą komunikację między Europą a Ameryką

na wzór największych okrętów Francji, Anglii czy Włoch.

Da Bóg, że wzmoże się Polska też jako państwo morskie, chociaż wcale nie zamierza potężną flotą wojenną grozić cudzej wolności lub zabierać obcą własność. Wobec jednak nieustannych zbrojeń na morzu całego świata, nie może przypatrywać się tylko temu spokojnie, ale dążyć musi do tego, by na wszelki wypadek mieć dostateczną siłę do odparcia czyjegoś napadu.

A morze jest dla wszystkich, kto jeno umie oceniać jego wartość i ma niezłomną wolę korzystania z jego szerokiego oddechu.

Pozdrowienie Gdańska

Zmarły poeta Or.-Ot (którego parę wierszy drukował „Dzwoneczek“ swego czasu), napisał jeszcze przed zmartwychwstaniem Polski utwór, z którego przebijają myśli i uczucia, jakie miotały sercem każdego Polaka, ilekroć znalazł się wśród murów starożytnego Gdańska.

O dniach potęgi zadumany,
Co z murów twoich jeszcze tchnie,
Bądź pozdrowiony z snów mi znany,
Mocarnej Hanzy stary lwie!
W gołębi morskich pióropuszu,
W szacie, co zblakłem złotem lśni,
Koronnych grodów patrycjuszu,
Królewski Gdańsku, witaj mi!
Zagrał z kościoła Panny Marii
Jak srebrna trąba gromki dzwon,
A mnie się zdało, że husarii
Surmacze pędzą z moich stron,
Krzyżacki rabuś chyłkiem bieżał,
Grunwaldem drugim piorun grzmiał,
I berłem w bramę lud uderzał
I w posiadanie Bałtyk brał.
Nocą, gdym błądził po ulicach,
Baśniowych domów chłonąc dziw,
O zmierzchłych losów tajemnicach
Zaklęty w kamień gadał Gryf,
Z blachy srebrnemi pękły trumny,
W purpurze wstawał zmarły świat, —
I taki byłeś, Gdańsku dumny,
Jak za Zygmuntów złotych lat.
Nad falą morza niespokojną
To samo niebo pełne lśnień,
Ale bandera z Ręką Zbrojną
Już nie szybuje w jutra dzień.
Przyległy orły bystrolotne,
Z serc ludzkich patrzą, z swoich gniazd:
Na morzu — fale mkną powrotne!
Na niebie — wieczny powrót gwiazd!
Tak płynie Wisła, jak płynęła,
I szumi Bałtyk, jako wprzód,
O, stary Gdańsku! ludzkie dzieła
Królewski ducha przetrwa cud!
Przez zagojone krwawe blizny
Może się ziszczą wielkie dni, —
Latarnio morska Słowiańszczyzny,
W śnie o przyszłości witaj mi!

Starajmy się zrozumieć słowa poety, który wzrokiem duszy patrząc w zamierzchłą przeszłość, jednocześnie sięga w przyszłość i mimo czarnych chmur niewoli, umie dostrzec dalekie, dalekie świty wolności i losów odmiany.

Oto wśród trzepotu skrzydeł białych mew nad Gdańskiem, wita go poeta jako miasto dawnej Korony Polskiej, której zawdzięczał swoje bogactwa i znaczenie. Szepcze mu o tym tajemniczo starożytny herb Pomorza, skrzydlaty Gryf, wspominając świetne dzieje minione.

Zapatrzył się poeta w dal nadmorską, nad którą to samo, co niegdyś niebo, jeno dostrzec już nie może na jego tle bandery ze znakiem Ręki Zbrojnej, jaka dawniej furkotała nad polskimi statkami. Nie płynie już ku nowemu „Jutru“, jako płynęła w minione „Wczoraj“ naszych dziejów. Nie widno też i orłów, co gdzieś przysiadły w oczekiwaniu i tęsknocie na skraju swoich gniazd...

Aż oto nagle uprzytamnia sobie poeta, że przecież na morzu fale nie tylko płyną, ale i wracają, podobnie jak na niebie odbywa się wieczysty powrót gwiazd. Nadzieja więc wstępuje w serce polskiego tułacza: powrócą, powrócą fale, co odpłynęły, wróci wolność i wielkość i szczęście Ojczyzny, bo przecież ponad złe, niesprawiedliwe dzieła ludzkie, trwalszy i mocniejszy jest ducha cud! Zagoją się blizny niewoli, spełnią się zapowiedziane przez wieszczów przemiany i Polska — odzyskawszy swoje morze, niby przejasna latarnia wielkiej Słowiańszczyzny rozbłyśnie z powrotem „blaskiem potęgi i chwały“...

Tak wierzył poeta w czas najsroższego ucisku. I tak się stało.

(Hanza, którą wspomina poeta, to nazwa związku miast handlowych bardzo niegdyś potężnego, do którego i Gdańsk należał za czasów swojej świetności).

(Patrycjuszami nazywano najmożniejszych mieszczan ze starych, zasłużonych dla miasta rodów).

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

Obok niego rasa biała, potomkowie Hiszpanów, których i pan liczy do swych przodków — zwrócił się do Karola — zajęła tutaj wybitne stanowisko. Dalej pierwiastek murzyński, wprowadzony skutkiem braku rąk roboczych, a w nowszych czasach Chińczycy, przybywający tu z tych samych powodów, przyczynili się nie mało do wytworzenia tej mieszaniny międzynarodowej. Istna wieża Babel.

— Wyższe warstwy tutejszej ludności — dodał pan Worms — są przeważnie pochodzenia hiszpańskiego. Niższe zaś pochodzą z zawojowanych Indian i dawnych niewolników murzyńskich.

— Uderzają panów te dwojakie typy wśród kolorowej ludności Limy — śpieszył Wiktor z nowym objaśnieniem. — Ot, taki niski, krępy zuch barczysty z szeroką, ciemną twarzą, orlim nosem, trochę skośnymi oczami i włosami czarnymi, prostymi, twardości drutu — to „Cholo“. Tak nazywamy tu mieszańca rasy indyjskiej z białą. Są to przeważnie rzemieślnicy, ale i wielu inteligentów. Drugi typ pospolity w Peru, to „Zambo“, mieszaniec krwi murzyńskiej z białą lub indyjską. Ot, ten na rogu stojący. Uważacie, jak czarne swoje pochodzenie zdradza kędzierzawym, sztywnym włosem, grubą wargą, ciemną cerą i szerokim nosem o rozdętych nozdrzach.

— Ale Europejczycy — pytali goście z Paryża — odgrywają tu chyba pierwszorzędną rolę?

— O, tak, prawie cały handel w ich ręku. Francuzi mają tu magazyny mód i sklepy jubilerskie, Niemcy sklepy norymberskie, Anglicy handlują płótnem i perkalikami, a Włosi, do których i ja się zaliczam — dodał Wiktor Filotti z uśmiechem, mający tu najliczniejszą kolonię europejską, trzymają przeważnie wielkie sklepy spożywcze na rogach ulic.

— Ojciec pana Wiktora — uzupełnił wuj Edward — jest właśnie takim kupcem w Limie.

Co chwila mijał ich ktoś jadący konno w kwadratowej płachcie wełnianej w różnokolorowe pasy.

— Co to za szczególny ubiór — pytał Raul, widząc, że większość mieszkańców Peru chodzi, a zwłaszcza jeździ w podobnych okryciach, które osłaniały cały korpus z rękami, zwieszając się po kolana.

— To „ponczo“ — odpowiedziano — Pośrodku takiej płachty jest podłużne przecięcie, przez które wsuwa się głowę. Bardzo pożyteczna ochrona od deszczu i kurzawy w podróży, zwłaszcza wierzchem, ale za to cóż za niewygodne ubranie w użyciu domowym: ciągle krępuje ręce i zmusza do wiecznego odrzucania rogów, które się z ramion zsuwają.

— Ale też popatrzcie, z jakim wdziękiem odrzuca Peruwianin na ramię jeden z przednich rogów, gdy potrzebuje z pod „poncza“ rękę oswobodzić. Indianie tutejsi są tak do tego przyzwyczajeni, że zrzucają je tylko na noc, i to jeszcze w tym celu, aby się nim nakryć jak kołdrą.

Limańczyk nie siądzie na konia bez „poncza“, jak Limanka nie wyjdzie z domu do kościoła inaczej, jak w „mancie“.

Istotnie, na każdej ulicy spotykali mnóstwo śpieszących rankiem do kościoła, według miejscowego zwyczaju na Mszę św. codzienną, pięknych kobiet o przeźroczystej cerze, z czarnym, bujnym włosem i błyszczącym okiem. A każda miała zarzucony z wdziękiem na głowę, bogato haftowany, czarny szal, zwany „mantą“, spod którego widać było jedynie dół sukni.

Powóz okrążył w tej chwili na dużym placu piękny skwer, pełen roślin egzotycznych, żywo kwitnących u stóp eukaliptusów, araukarii i cyprysów i wtoczył się w bramę piętrowego domu, którego całą szerokość frontu zajmował wiszący nad ulicą ganek kryty, oszklony i rzeźbami ozdobiony.

(Ciąg dalszy nastąpi).